

Kultura, masy, mecenasi

(ARTYKUŁ DYSKUSYJNY)

JAN GOREC-ROSIŃSKI

Stworzyć nową kulturę — to nie znaczy tylko dokonywać indywidualnie „oryginalnych” odkryć, ale także — i zwłaszcza — szerzyć krytycznie prawdy już odkryte, „uspołeczniać” je, jeśli tak można powiedzieć, i czynić z nich podstawy działalności życiowej, element koordynacji i porządku intelektualnego i moralnego. To, że masy ludzkie dochodzą do konsekwentnego i jednoznacznego pojmowania współczesnej rzeczywistości, jest „wydarzeniem filozoficznym” znacznie donioślejszym i bardziej „oryginalnym”, niż odkrycie przez filozoficznego „geniusza” jakiejś nowej prawdy, która pozostaje własnością drobnych tylko grup intelektualistów.

Antonio Gramsci

Pusta beczka Diogenesa

Plutarch w Żywotach podaje następującą anegdotę: kiedy posłowie samicy zbył długo i chepliwie przemawiali do Spartan, ci oświadczyli: „Coście mówili na początku, zapomnieliśmy, a dalszego ciągu nie zrozumielismy, ponieważ nie pamiętaliśmy już początku”.

Trzykroć czytałem bydgoski Program Rozwoju Kultury i nie pamiętam. Obawiam się czy pamiętają go sami autorzy? Nikt nie wątpi w ich dobre intencje. Ale też nikt nie może chwalić dzieła, które co najmniej zasługują na uwagę, gdyż też jest dziwością, co plodem dobrych intencji.

Na stukilkudziesięciu stronach Prez. WRN w Bydgoszczy uchwalono i wydało rzeczony program. Pomijam już niefortunną nazwę, bo nawet gdyby przyjął, że administracja kulturalna jest powołana do programowania kultury, to w owym „programie” nie ma żadnego programu ideowego, artystycznego, estetycznego itd. Chodzi tam raczej o zespół środków i rozwój urzędów kulturalnych, które autorzy szumnie nazwali Programem Rozwoju Kultury, mieszając kierunki i treści kultury z formami pracy kulturalno-oświatowej, wolonaryzm ze schematyzmem, a planowanie środków finansowych i urządzeń kulturalnych z namiastką ideologii i polityki kulturalnej. Przy tym plan ów nie uwzględnia tradycji, struktury ekonomicznej, współczesnych przemian i tendencji kulturowych oraz jest oderwany od konkretnej sytuacji społeczno-ekonomicznej kraju i regionu, co może spowodować jego wyalienowanie z praktyki społecznej. Ponieważ opracowano go w ciszy gabinetów, nie było możliwości konfrontacji z autentycznymi potrzebami terenu, ze społecznym ruchem kulturalnym, z całą przebiegłą gamą kulturalno-oświatowych form i treści pracy w terenie. W takim ustawieniu plan uzyskał rangę dokumentu schematycznego, delikatnie mówiąc, którego konstrukcja staje się szablonowym wzorem dla powiatowych, miejskich i gromadzkich rad narodowych i to szablonem martwym. Takie profilowanie kultury zawsze preferuje, wynosi administrację kulturalną nad społeczny ruch kulturalny. A w powiązaniu z innymi, występującymi tu zjawiskami jak np. organizacyjne podporządkowanie towarzystw kulturalnych przewodniczącym rad narodowych, wprowadza w ruch kulturalny niebezpieczny stan zamrożenia oddolnej aktywności społecznej.

Każdy kieruje wodę na własny młyn, więc i nasi planiści od kultury puścili strumień cyfr może i słusznych, ale oderwanych od rzeczywistości (patrz felieton w Życiu literackim nr 23/36 pt. „Poloneza czas zacząć”). Prawda, plan ów zawiera cenne informacje i bogaty materiał statystyczny, a poza tym jest zamierzeniem o tyle skazanym na niepowodzenie, że usiłuje zaspokoić potrzeby kulturalne roku 1980 z praktycznych pozycji dnia dzisiejszego. Takie programowanie, planowanie i stosowanie praktyczne może grubo zemścić się na rozwoju kultury. Przykładów na to jest aż nadto dużo. W samej Byd-

goszczy mamy domy kultury, które nikomu nie służą, świetlice, które stały się tylko doraźnym miejscem zebrań załóg; kluby, w których nie ma działalności rozrywkowej nie ma. Baczmy, aby nie pobydować niepotrzebnych urzędów, gdyż nikt nie wie, jak rozwijać się będzie życie kulturalne — biorąc pod uwagę coraz to bardziej zaskakujący rozwój techniki i życia społecznego.

Ale najsmutniejsze słowa nie napoją spragnionego tak, jak kubek wody, mawiał Sofokles. Mogą więc być tylko dwie alternatywy: nie oglądając się na nic realizować plan w postaci, w której został uchwalony; można też poddać go jak najszybciej społecznej próbie oczyszczenia z całego arsenału niepoważnych i absurdalnych propozycji, a także z pretekstu do „cudowności”, nieomyślności i nietykalności. Propozycje na lat dwadzieścia nie mogą stać się tabu administracji kulturalnej. Dlatego trzeba przywrócić planowi rzetelną realność, skonfrontować z poprzednio uchwalonymi, również długofalowymi zamierzeniami i nazwać go po prostu planem rozwoju środków i urządzeń kulturalnych. Zabieg to formalny, ale niezbędny, aby nie wprowadzać mętliku ideowego (i rzeczowego).

Jestem za drugą alternatywą. Dlatego pragnę przedłożyć nie tylko merytoryczną krytykę „programu”, ale i wysunąć pewne propozycje. Tysiąc lat temu Egipcjanie radzili nie budować dla pszczoł pałaców królewskich, bo one wolały zwykle pasieki. Gramsci słusznie mówił, że zbyt wiele szerzy się „oryginalnych” odkryć, planów, programów, uchwał itd., a zbyt mało jest rewizji i uspołeczniania prawd już odkrytych, osiągniętych, wywalczonych. Lenin dowodził: „Ruch kulturalny odbywa się bez skoków” (t. XXVI s. 455).

Kiedyś już Kuźma Prutkow mawiał, że szybko biegaczom wycina się śledzionę w tym celu, ażeby nogi ich nabrały większej zwinności. Ale, mówił satyryk, wieść ta wymaga sprawdzenia.

My tu i ze śledzionami biegamy dość szybko. Nic więc dziwnego, że w owym programie roi się od ogólników, truizmów, cyfr, procentów, imponujących zamierzeń. Stokilkadziesiąt stron planu stanowi i agitację, i usprawiedliwienie, i per-

spektywę rozwoju kulturalnego województwa bydgoskiego. Jestem przekonany, że plan ów zmieściłby się na 30 stronach, gdyby autorzy traktowali go jako wytyczne działania, a nie jako pomnik lub zamknięty na siedem pieczęci dokument urzędniczy. Nie dodają też wagi tej pękatej książeczce, przeladowanej tezami, sugestiami, cyframi i wizją takie oto niepoważne curiosa: „czystość zaś, kwiaty, firany, winny być nieodłącznym atrybutem placówek kulturalnych (...) „pracę kierownika świetlicy i odpowiedzialnych władz kulturalnych należy oceniać także i z tego punktu widzenia”; albo: „byłoby rzeczą społecznie pożyteczną, gdyby ich nakłady (tj. gazet, uwaga moja JGR) zostały zwiększone tak, aby w roku 1980 jedna gazeta przypadała na 5 mieszkańców, to znaczy, że dzienny nakład gazet powinien wynieść ponad 500.000 egzemplarzy. Równocześnie ze wzrostem nakładów należałoby zwiększyć objętość dzienników...”; albo: „Biuro Wystaw Artystycznych w Bydgoszczy winno stać się centralnym organizatorem upowszechnienia twórczości plastycznej...”; albo: „Związki i organizacje twórcze spełniają pożyteczną rolę kulturo-twórczą”; albo: „Podobnie jak inne przejawy życia, sprawy kultury są i powinny podlegać społecznej kontroli”; albo: „Rozwój kultury i sztuki, proces jej upowszechnienia, jest ściśle związany z wysokością nakładów finansowych na ten cel”.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

MARCELLO MASCHEVINI

PIEŚŃ NAD PIESNIAMI (brąz)



Wolny ruch twórczej mowy

JULIAN PRZYBOS

Słyszałem o nim od paru lat, dobiegaly mnie głosy, że rośnie w łebzie uczestników, że sięga w głąb mas, ogarniając dziesiątki i setki tysięcy ludzi. Nigdy jednak nie zetknąłem się z nim bezpośrednio i, choć mówiłem i pisałem o masowym wierszomówieniu — okazało się teraz, że nie doceniłem jego doniosłości. Ale o

czyżże mówię? O tym, co nazywa się zbyt skromnie i niepozornie „konkurem recytatorskim”; zbyt skromnie i cicho, bo nazwa nie obejmuje ani zakresu ani istoty pojęcia.

Z „konkursami recytatorskimi” kojarzymy po staremu (i fałszywie) szkolne popisy deklamatorskie, wyobrażamy je sobie jako rodzaj mówionych laurów okolicznościowych i wierszowanych eksklamacji na akademiach święjących rocznice historyczne i wszelakie Dni: Matki, Dziecka, Lasu, Hutnika, Kolejarza, Barbórki... Jak gdyby poezja mówiona była przydatkiem uroczystości mało istotnym, ale konwencjonalnie w takich wypadkach koniecznym, podobnie jak zdobiacza salę dekoracja z portretami jubilatów i emblematami święconej sprawy.

A to, co się nazywa „konkursami recytatorskimi”, dawno przekroczyło granice okolicznościowych deklamacji i szkolnych kółek „żywego słowa”. Stało się ruchem masowym. Do ostatnich, jubileuszowych, bo już dziesiątych z kolei, corocznych eliminacji ogólnopolskich stanęło we Wrocławiu stokilkadziesiąt osób, które zwyciężyły na zawodach wojewódzkich. Byli to więc najlepsi mówcy słowa polskiego spośród stu trzydziestu tysięcy biorących udział w tym ruchu obecnym i żywym w każdym powiecie, w miastach, miasteczkach i wsiach. Sto trzydziści tysięcy bezpośrednich zawodników! Jeśli zaś zważymy, że każdemu spośród tych „mówistów” towarzyszy kilku słuchaczy żywo zainteresowanych, pomagających i współpracujących — można przyjąć liczbę pół miliona uczestników tego ruchu, jako mniej więcej odpowiadającą rzeczywistości. Ruch więc masowy, potężne stronnictwo! Sądzę, że nadeszła pora, aby temu ruchowi nadać właściwą, odpowiadającą mu nazwę: to już nie „konkursy recytatorskie”, ale **Wolny Ruch Twórczej Mowy**.

Wolny — bo nie dążący do wykształcenia zawodowych recytato-

rów i aktorów; wolny, bo niezależny od okolicznościowych i niejako przymusowych deklamacji na uroczystości, święta i obchody; wolny, bo nie ograniczający ani wieku, ani wykształcenia swoich uczestników.

Biorą w nim udział prócz młodzieży szkolnej i studentów przedstawiciele wszystkich zawodów: chłopcy i robotnicy, nauczyciele i technicy, pielęgniarki i lekarze. Wolny — być może tą jedyną całkowitą wolnością — jaką daje wybór i bezinteresowne umiłowanie piękna. Co więcej: tak bardzo wolny, że przebił się przez mury więzienia. Konkursy recytatorskie odbywają się w domach poprawczych, a tego roku wydarzeniem było wystąpienie we Wrocławiu młodego więźnia, któremu dyskretnie towarzyszył przebrany po cywilnemu strażnik. Więzień ten powiedział z doskonałym zrozumieniem „Sen” Mickiewicza oraz prozę Mrożka i zdobył wyróżnienie.

Pierwsze moje spotkanie ze sztabem tego ruchu na tegorocznym turnieju we Wrocławiu było dla mnie radosną niespodzianką. Nie przypuszczałem, że wśród tzw. działaczy pracujących głęboko rozumiejący sprawę tego, co się nazywa kulturą masową. Radość moja była tym większa, że zniechęcony przez programy radia i telewizji byłem już bliższy zwątpienia o możliwości rozwoju socjalistycznej kultury masowej w Polsce. Powiada wprawdzie ten i ów polityk zajmujący się kulturą, że nie można dopuścić do takiego zubożenia umysłowego i standaryzacji gustu, jakiemu uległo to, co się nazywa „mass culture” w krajach zachodnich — ale cóż proponuje się zamiast? Wybór, mieszankę tego i owego? A co podaje radio i telewizja, co z wielkim hałasem i nakładem kosztów reklamuje się w Polsce Ludowej? Jeśli pominiemy zespoły pieśni i tańca ludowego, takie jak „Mazowsze”, „Śląsk”, które przecież stały się czymś w rodzaju baletów i rewii,

(DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

ARNOLD SŁUCKI

RONSARD

Oto ten, co łuski lez zrywał z ryńien, kamienicznik, grand hiszpański. — Ze sławą merda dziś, jak pies bezpański — Bóg winien.

Pytałem się o niego miejskich bożyszcz: — gwiazdy ponad rzeźnią, złanej pąsem, przed baram mlecznym z podkurczonym wąsem w obłoku leżał, niby trup w śpiworze.

Emigracyjny krytyk pisał: — Ronsard, krajowy przeszedł, niby cień po zorzy.

STANISŁAW PIĘTAK

Idę — znowu tu jestem.

Jaskółka zatrzaśnięta w kościele wola rozdierająco, strzela cieniem poszarpanym w złote lez zamknięte okno — i ginie, nadal ginie.

Idę — tu na nizinnych polach gotowy byłem oddać kiedyś życie, aby złączyć swe ciało z ciałem ukochanej. Tulilem się do brzozy białej, tulilem się do rówieśnika i nagle z krzykiem rzuciłem się na ziemię, widać, przeczulem wszystkie mroki krzywdy i rozkoszy.

Idę — skrzydła jaskółki i ręce chłopców rozdierają powietrze, a to, co jeszcze się przypomina nie niesie już dźwięku ni koloru, odbiera mowę...

Wolny ruch twórczej mowy

(DOKONCZENIE ZE STR. 1)

niewiele już mających z autentycznym folklorem — to objawami „mas culture” najbardziej hałaśliwymi są konkursy piosenkarskie, z których zrobiono imprezy młodzieżonowe. Podwieczorki przy mikrofonie, „Matysiakowie” i „Kobra...”

Nie jestem ci ja srogi Kato kultury, skłonny jestem przyznać rację temu przed dwudziestu trzema wiekami estetykowi z Chios, co twierdził, że „powinna być poezja na każdy gust”; trudno zabronić, jeśli ktoś, mając do wyboru wino reńskie i sikacz ze Zduńskiej Woli, wybierze sikacz... Ale myślę się ci, co sądzą, że wychowuje się masy do prawdziwych wartości kulturalnych poprzez karmienie ich podproduktami i odpadkami literatury i sztuki. To nieprawda, że kto zasmakuje w „Matysiakach”, sięgnie po tym po Prusa, a panienka pięćca „Przyjdź, przyjdź do mnie jutro” sięgnie po lirykę Leśmiana... Kicz rodzi kicz, a wielbiel kiczu wielbiel kiczu. Jeśli się chce wychować masy do odczuwania i rozumienia najwyższych wartości kulturalnych, trzeba do nich iść ze sztuką najlepszą. Jest świadectwem małoduszności i niewiary w lud — ograniczanie go do „łatwych” (czytaj: mało warty) i przystępnych (byle jakich) form literatury i sztuki. Powtarzam: do mas trzeba iść ze sztuką bez taryfy ulgowej dla analfabetów, ze sztuką (zwana w opinii Matysiaków, czyli poczciwych filistrów) trudną.

Zapytanie: Jak to zrobić, żeby ja masy przyjęły? Odpowiedź: Tak, jak to robi ten Wolny Ruch Twórczej Mowy. Na zjeździe wrocławskim slyszalem wypowiedziane ze zrozumieniem i odczuciem najlepsze dzieła twórczej myśli wyrażone w języku polskim. Teksty Kopernika, Kochanowskiego, Górnickiego, Lelewela, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Prusa, Zeromskiego, Leśmiana... Trudny „Fortepian Chopina” slyszalem w życiu dwa razy wygłoszony tak, że byłem jego powiedzeniem poruszony potężnie: raz — mówiony przez wojną przez niezjącego już aktora Woźnika, drugi raz — teraz we Wrocławiu przez 52-letniego słuszarza Maćkowiaka z Poznańskiego.

Może byłoby przesadą twierdzenie, że kto wygłosił doskonale Norwida, dojrzał estetycznie i moralnie do poziomu autora, ale nikt nie zaprzeczy, że takie dzieło od twórcze wymaga wielkiej dojrzałości umysłowej i tego, co Francuzi nazywają „inteligencją serca”. To więc, czym żyje nasz masowy ruch recytatorski, nie jest tylko bierną, powtarzaną za panią matką instruktorem, nauczycieli i kierowników Domów Kultury lekcją dykcji i interpretacji tekstu, ale — czym? Samowychowaniem mas do rozumienia i odczuwania najlepszych wartości ukazanych w literaturze ojczyzny. To nie tylko od twórcza gra i reprodukcja, ale — w rozumieniu kierowników tego Ruchu narzędzie do wszczęcia masom zamilowania do czynnego uczestnictwa w kulturze. Ow „mówiści”, recytator, poszerza bowiem swoją wrażliwość i kształci swój światopogląd poprzez czynne przeżywanie najlepszych dzieł poezji, prozy artystycznej i publicystycznej. A jest rzeczą niewątpliwą, że kto dojrzał umysłowo do poezji Norwida i prozy Dąbrowskiej, nie sięgnie po Matysiaków, ani po tekst piosenki Przybylskiej. Dlatego to nazywałem zawodnictwem recytatorskie: Ruchem Twórczej Mowy. Ruch to oryginalny, w Polsce tylko znany i wypracowany, a nie ma nic wspólnego z „mas culture”; przeciwnie: jest właśnie po-

siłną odtrutką przeciw szerzonej za pieniądze publicznej szmirze i małoduszności kiczowi.

Ruch oryginalny, bo nie znajdziemy przykładów czegoś podobnego nigdzie na świecie. Nie przejeżdżamy go znikąd, powstał w Polsce dzięki grupie ofiarnych i mądrych miłośników twórczego słowa. Widziałem ich, ten sztab masowej kultury godnej tego miana, w czasie narad w sądzie konkursowym i rozmów z recytatorami — i podziwiałem. Ich rozmowy z poszczególnymi „mówiściami” przypomniały mi zasadę greckich pedagogów i lekarzy: że wychowanie i leczenie polega na rozmowie z uczniem i z chorym, (zasadą, do której wraca nowoczesna medycyna psychosomatyczna). Rozmowa z recytatorem sięgała nie tylko do głębi jego umiłowań intelektualnych, ale tyczyła się zdrowia, warunków pracy, sposobu bycia. Słuchałem i zdumiewałem się: jeśli grafologowie twierdzą, że z charakteru pisma można wnosić o charakterze piszącego, to o ileż słuszniej jest przypuścić, że to, co się wybiera do wygłaszania i jak się wygłasza — mówi o całym człowieku wymownie.

Widzę więc w tym Wolnym Ruchu Twórczej Mowy w Polsce wiel-

ki prąd **o zdrowieńczo-moralny**. W czasie, kiedy socjologowie i pedagodzy sygnalizują także u nas objawy rozkładu osobowości, alienację i frustrację, kiedy walczą się słowem małowalnym lub wręcz drętym z hasłem „Smierć frajerom!”, z kradzieżą mienia publicznego, z chuligaństwem i pijaństwem — oto masowy samowychowawczy ruch intelektualny i moralny. Ruch umysłowy, który scala pęknięte osobowości, zespała jednostki ze szlachetnymi ideałami społecznymi, uaktywnia psychicznie, pobudzając wyobraźnię, budząc dzielność i wiarę w przyszłość. Jeśli co w kulturze Polski Ludowej godne jest w pełni miana: „socjalistyczne” — to ten Wolny Ruch Twórczej Mowy.

Ludzie sztuki w Polsce winni włączyć się weń i współdziałać. Wiele mówi się o zaangażowaniu się społecznym artystów i różnie się ten obojętny pojmuje. A oto ruch, który wola o współdziałanie pisarzy: Masowy Ruch Twórczej Mowy. Po- ciąga ku sobie nieodparcie.

JULIAN PRZYBOS

* Proponuję spolszczenie nazwy „recytatora” na „mówiście”, którego wprowadził z gwary do poezji Leśmian.

Lubuskie spotkanie pisarzy

Ponad stu prozaików i poetów, krytyków literackich oraz redaktorów wydawnictw, radia i telewizji spotkało się na VI Zjeździe Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, który tym razem odbył się w Zielonej Górze (7-9 czerwca bież. roku). Było to, na tle dotychczasowych spotkań interesujące wydarzenie. I to z dwóch co najmniej powodów.

Przed wszystkim udało się wreszcie tym razem wyjść poza krąg literatury rozpatrywanej jako zjawisko regionalne, pod kątem jej specyficznego rodowodu i warunków egzystencji. Referat Włodzimierza Maciąga („Prozaicy Ziemi Zachodnich 1960-1962”) zaproponował bardzo sensowną płaszczyznę dyskusji, rozpatrując twórczość zachodnich i północnych regionów w aspekcie tych jej wartości, o które wzbogaca ona — podejmując problematykę życia tych ziem w ich specyficznym układzie — całą naszą współczesną literaturę. Dzięki temu zarówno referat jak i dyskusja nad nim miały walor merytorycznej oceny. Wnikliwej oceny; oceny, na której nie ciążyła owa charakterystyczna protekcyjnalna taryfa ulgowa. Jeśli z tym wszystkim ocena dorobku środowisk twórczych wypadła dość optymistycznie, a w odniesieniu do poszczególnych autorów czy utworów nawet bardzo pochlebnie (Mikalałek, Panas, Niedworak, Patkowski) — to już sam ten fakt świadczy wymownie o wartości tego, co w życiu literackim na tych terenach się dzieje.

Niewypałem okazał się natomiast drugi temat zjazdowy: literatura i jej współcześni pośrednicy. A więc transpozycja literatury na język radia i telewizji. Obaj referenci niewiele tu wniosli nowego, ograniczając się w zasadzie do upozorowania wniosków z bieżącej praktyki telewizyjnej. Temat może by nawet „chwycił”, gdyby referenci

nie ograniczyli się do telewizji europejskiej i warszawskiej, gdyby sięgnęli do praktyk regionalnych — tych najbliższych uczestnikom zjazdu — rozgłośni radiowych i telewizyjnych. Temat wypadłby przy najmniej pewnymi roboczymi problemami, utrudniającymi współpracę lokalnych środowisk twórczych z owymi pośrednikami.

Nasuwa się tu uwaga pod adresem organizatorów następných spotkań. Wydaje się, że w przyszłości należałoby się ograniczać do dyskusowania jednego problemu ogólniejszej natury; takiego, który by interesował zjazdowe plenum. Pozostałe dni zjazdu powinny na porządek dzienny wnosić jednocześnie szereg zagadnień — bardziej już szczegółowych. Uczestnicy rozbiłby się na szereg grup, a grupy już w bardziej kameralnych warunkach — i chyba bardziej roboczo — mogłyby je podejmować.

Jeszcze parę słów o drugiej okoliczności, dzięki której zjazd zielonogórski stał się wydarzeniem. Zjazd nie kończył się na obradach, jego uczestnicy każdego dnia wyjeżdżali w teren, spotykając się na wieczorach autorskich z mieszkańcami miast, osiedli i wsi uroczej Ziemi Lubuskiej. Te właśnie spotkania stały się prawdziwym wydarzeniem — i dla pisarzy i dla ludności. Takiego zainteresowania dla pięknej literackiego słowa, dla poezji zwłaszcza, tak spontanicznej i żywiołowej życzliwości dla twórców — która objawiła się tu w najbardziej wyszukanych formach — nie uswiadczysz na terenach lepiej kulturalnie nasyconych. Chyba więc miał rację dziennikarz, który z okazji tych literackich wieczorów nad Odrą pisał, że gdyby już nawet w przyszłości nie było takich zjazdów jak w Zielonej Górze, należałoby coś podobnego wymyślić...

(hew.)

Pisanie o „literaturze katolickiej” nie jest rzeczą ani łatwą, ani prostą... ani bezpieczną. O tym ostatnim, miałem możność przekonać się na własnej skórze, mniej więcej rok temu, kiedy opublikowałem na łamach „Wiatraków” felieton, w którym dałem wyraz wątpliwościom, co do wartości artystycznych tej literatury. Odpowiedzi była natychmiastowa. Jakis tajemniczy, ukrywający się za pseudonimem pan dał mi na łamach „Kierunków” wyrażenie do zrozumienia, że felieton ten... pisałem w stanie nietrzeźwym. Do odważnych jednak świat należy. Bardzo odważnym okazał się znany krytyk i publicysta Waclaw Sadkowski i opublikował książkę zatytułowaną „Literatura katolicka w Polsce”, pierwszą właściwie, tak obszerną krytyczno-literacką analizę współczesnej twórczości katolickiej w Polsce, przeprowadzoną ze stanowiska laickiego.

Literatura drugiej kontrreformacji

JERZY SIEWIERSKI

Pierwszą trudnością, którą wypadło przewartościować pisząc o literaturze katolickiej, jest sprawa ustalenia, co to właściwie jest „literatura katolicka”. Sadkowski nie stworzył własnej definicji (w praktyce przyjął definicję prof. Stefania Skwarczyńskiego oparte na przyjęciu jako kryterium wyróżniającego źródła światopoglądowej inspiracji dzieła literackiego), doskonale dał sobie jednak radę z tą trudnością i zaprezentowane w książce przykłady dzieł literackich nie mogą budzić najmniejszych wątpliwości co do swojej „katolickości”.

Druga i o wiele poważniejsza trudność jaka wyrasta przed każdym laickim krytykiem literatury katolickiej, jest niemożliwość jakiegokolwiek sensownej dyskusji z zasadniczą światopoglądowo-religijną wymową tych książek. Sprawy wiary są sprawami tak prywatnymi i intymnymi, tak nie poddającymi się argumentom dyskusyjnym, że krytyk laicki pisząc o treściach religijnych dzieł literackich, może niesłychanie łatwo urazić czyjeś uczucia religijne, napisać coś bardzo nietaktownego itd. Waclaw Sadkowski uniknął tego niebezpieczeństwa, koncentrując swoją uwagę przede wszystkim na wymowie społecznej i politycznej tej literatury.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Najistotniejszym i chyba najbardziej wartościowym elementem książki Sadkowskiego jest ustalenie społecznego i politycznego rodowodu współczesnej literatury katolickiej, wykazanie zbieżności jakie ta (i nie tylko zresztą polska) współczesna literatura katolicka w dziedzinie swoich funkcji społecznych wykazuje z literaturą katolicką okresu kontrreformacji.

Rozprzestrzeniający się się laicyzm wieku dziewiętnastego, sukcesy i zasięg oddziaływania ideologii socjalistycznej, wszystkie te czynniki sprawiły, że Kościół poczuł się zagrożony w swoim stanie posiadania. Powstała sytuacja bardzo podobna (jeżeli w historii w ogóle można mówić o takich analogiach) do sytuacji w jakiej Kościół znalazł się przed kilku wiekami, w okresie naporu ideologii humanizmu i reformacji. Wtedy zdobyto się na kontrofensywę, w której ważną rolę odegrała działalność w dziedzinie kulturalnej. W analogicznej

sytuacji, w czasach nam współczesnych, jesteśmy świadkami drugiego kontruderzenia. Pojęcie nowoczesnej literatury katolickiej narodziło się w ramach nowoczesnych idei kontrreformacyjnych, literatura ta ma być swoistym przeciwstawieniem całej reszty życia literackiego, wszystkich odmian współczesnych literatur, które choć tak od siebie odmienne przesycane są na ogół duchem laickim.

W tej sytuacji nie mogą budzić zdziwienia idee społeczne zawarte we współczesnej literaturze katolickiej, nie mogą budzić politycznych związków tradycji tej literatury z siłami skrajnej prawicy (Sadkowski na wielu przykładach pokazuje je te związki i powiązania), nie może budzić zdziwienia zawarta w powieściach historycznych twórców katolickich pochwała tych momentów dziejów i tych idei przeszłości, które muszą wydać się współczesnemu czytelnikowi, jeżeli już

nie wręcz obskurancie, to przy najmniej przebrzmiałe i nieaktualne. To kontrreformacyjne źródło pochodzenia współczesnej literatury katolickiej zaciążyło także na tych pisarzach, którzy starali się lub starają się nadal przezwyciężyć ograniczoną spojrzenia na świat, ogarnąć w swej twórczości szersze kręgi zagadnień i problemów. I oni także ponieśli klęskę, musieli ją ponieść. Jedyną możliwością sukcesu — jest tu całkowite wyzwolenie się z kontrreformacyjnego kręgu idei, ale takie wyzwolenie doprowadza w końcu do zaprzeczenia samej istocie pojęcia współczesnej literatury katolickiej. W rezultacie takiego przezwyciężenia powstać może dobra, interesująca książka... ale nie będzie to już książka katolicka.

Cisnienie doktryny, pewnych podstawowych założeń ideowych na pisarza katolickiego jest tak potężne i tak ograniczające w skutkach, że pisarz (choćby najbardziej utalentowany) nie potrafi stworzyć artystycznie przekonującej wizji świata. Wizji osobistej, przeżytej na swój niepowtarzalny sposób.

Sadkowski przytacza mnóstwo interesujących przykładów ilustrujących tę tezę. Książka jest ciekawa i interesująca. Sadkowski unika przyklepania etykietek, pozwala faktom mówić za siebie. A fakty podane w książce nie mogą budzić wątpliwości. Książkę powinni przeczytać wszyscy zainteresowani zagadnieniami literatury katolickiej i literatury polskiej w ogóle. Katolicka literatura współczesna niezależnie od swych treści ideowych i poziomu artystycznego, stanowi jednak ważny składnik naszego krajobrazu literackiego. Pomijanie jej milczeniem, niezauważanie jej istnienia (a to jest praktyka, którą często stosują laicy krytycy) prowadzi do zniekształcenia obrazu ogólnego. Literatura katolicka (choć niektórzy pisarze katolicki nie uznają tego terminu) istnieje, wyraża określone treści społeczne i światopoglądowe, ma szeroki krąg odbiorców i szeroki krąg oddziaływania. W tej sytuacji pomijanie jej milczeniem — jest w gruncie rzeczy nieporozumieniem. Książka Waclawa Sadkowskiego przerywa milczenie. I to jest jeden z jej zasadniczych walorów.

Kronika kulturalna

● Istniejące już 116 lat, a więc najstarsze w Polsce wydawnictwo „Ossolineum” przygotowało ostatnio jedyną w swoim rodzaju publikację. Mowa tu o wielkim tomie zatytułowanym „Trybuna Ludów-Paryż 1849”. Tom zawiera fotokopie wszystkich numerów redagowanego przez Adama Mickiewicza pisma. Publikacja liczy ponad tysiąc stron druku i waży... 20 kg!

● Ciekawsz polonica literackie ostatnich miesięcy. Zachodniemieckie wydawnictwo „Hermann Luchterhand Verlag” wydało „Spisowa brame” Tadeusza Brezy. W medolańskim wydawnictwie „Sylvia” ukazała się powieść Jerzego Andrzejewskiego „Ciemność kryją ziemię”. „Słoń” Sławomira Mrozka doczekał się przekładu włoskiego w słynnym wydawnictwie rzymskim E. naudi.

● W Moskwie rozpoczyna się trzeci już z kolei międzynarodowy festiwal filmowy, w którym ważną udział kinematografie ponad 45 krajów. Na ekranie festiwalowe wejdą m. in. filmy: czeskosłowacki — „Smierć nazywa się Eiselen”, włoski — „Lampart” (reż. Visconti), szwedzki — „Cudowna podróż” (wg Selmy Lagerloef), chiński — „Piomnie gorze”. Zaprezentują swoje nowości także młode kinematografie Tanzanii i Cypru. Polskę reprezentować będzie, jak wiadomo, film E. i Cz. Petelskich „Czarne skrzydła” (na podstawie Kadena-Bardrowskiego).

● Co sześć lat odbywa się w Osace (6 mln. mieszkańców) jedyny w Japonii na europejską modłę festiwal muzyczny. Na tegoroczny festiwal, w maju, występował balet Opery Paryskiej, orkiestra symfoniczna z Londynu oraz soliści z Jugosławii. Na uwagę zasługuje fakt, że festiwalu nie finansuje ani rząd, ani władze samorządowe miasta, lecz pewna młoda niewiasta — właścicielka jednego z miejscowych pism...

● Wymowne dane ujawnia ostatnio policja paryska. Według jej obliczeń we Francji znajduje się 30 tys. obrazów Corota, zaś w Stanach Zjednoczonych aż ponad 100 tys. Historycy sztuki wiedzą, że Corot namalował „zaledwie” 2 tys. obrazów. Statystyka ja świadczy nie tylko o popularności malarza, ale i o „wydajności” fałszerzy dzieł sztuki.

● Zachodniemieckie czasopismo artystyczne „Tendenzen” podaje: „Sprzedawcy dzieł sztuki i krytycy donoszą o dającym się zauważyć ostatnio zjawisku zmęczenia sztuką abstrakcyjną”. Podobno „w dobre abstrakcjonistów w NRF panuje panika” i cena za ich dzieła gwałtownie spada. Niektóre sklepy handlujące wyłącznie malowidłami abstrakcyjnymi zbankrutowały

„WIATRAKI”
Dodatek literacki
„FAKTOWY I MYSLI”
Adres Redakcji: Bydgoszcz,
Stary Rynek 15, tel. 247-92

Poezja

WIATRAKOW

T. S. — Bielawa. Każdy poeta napisał choćby jeden wiersz o miłości i nie tylko poeci oddają na jej służbę swoje talenty; ileż to młodych dziewcząt i chłopców, kiedy serce zaczęło nieco żywiej uderzać, ubierało w strofy wierszy swoje niedojrzałe uczucia. Pan chyba również do nich należy. Tylko, że nie ma Pan już nawet tej młodzieńczej wstydlivosti, która stanowi urok ich nieudolnego często pisania. Pan od razu „kawę na ławę”:

„I piękno kobiecego ciała,
i kobiecego ciała budowę
widzieć. Na to zawsze się zgadzała.
Więc taka miłość nam była zdrowiem”.

No to na zdrowie! Ale wierszy nie wydrukujemy.

R. O. — Czeladź. Zafascynowany lotami kosmicznymi pisze Pan:

„Spytacie może, jakież to sens
Ze tyle wrzasku czyni się wokół
Bo jakis zwykły homo sapiens
Obleci ziemię i księżyc z loku”

Nie spytamy. Jeśli już, to o sens tego rodzaju wierszy. Bo wydaje nam się, że loty człowieka w przestrzeń kosmiczną są sprawą poważną i pisać o nich należy poważnie, albo wcale nie.

Z. S. — Węgorzewo. Wraz z wierszem przysłał Pan miły liścik, w którym czytamy: „Wiem, że jest on (wiersz — przy. Z. P.) trochę szokujący, chwilami słabnie styl, ale można wzbudzić wokół niego dyskusję (chodzi mi o sens w nim zawarty)”.

Bez złośliwości stwierdzam, że ani trochę mnie nie zaskakował, że styl wcale nie słabnie, gdyż słaby jest od początku do końca, że nie widzę, nad czym by tu dyskutować. Za zaproszenie do Węgorzewa dziękuję, może kiedyś skorzystam. Przesyłam pozdrowienia.

B. K. — Grudziądz. W wierszu pt. „Pęd” pisze Pan:

„Przemieniły czasy cesarów
królów
książąt
właścicieli
i bankierów,
Lecz któż zgadnie
dokąd dąży ludzkość?...”

Nie bawimy się w zgadywanki. My doskonale wiemy.

U. W. — Bydgoszcz. Trudno ocenić możliwości na podstawie kilku przysłanych wierszy. Proszę o następne, lub o sobiste skontaktowanie się z redaktorem „Pocztę”.

J. S. J. — Świecie n. Wisłą. Bardzo dużo ogólników w tych wierszach. Nie potrafił Pan jeszcze posługiwać się obrazem poetyckim. Życzę bardziej ambitnych utworów.

H. I. — Lewice. Pisze Pan:
„Dlaczego kłamię, pytasz.
Czy ja wiem?
Chyba z przyzwyczajenia...”

Oj nieładnie! Wiersze też nie wzbudzają zaufania do autentyczności przeżyte.

T. J. — Opole. Nie skorzystamy. (Z. P.)